

Emilia Waśniowska

W GLINIE ZAKŁĘTE

Na początku był chleb. A z niego ugniatane w zręcznych palcach pani Aleksandry wazoniki, dzbanuszki, miseczki. Potem ktoś przyniósł wiadro bardzo dobrej, plastycznej, podatnej na formowanie gliny. I wtedy pojawiły się pierwsze gliniane drobiazgi. Cudeńka „z prochu ziemi powstałe” schły na kuchennym piecu. Były kruche i nietrwale, a przecież budziły podziw odwiedzających dom przyjaciół. Pani Aleksandra chętnie darowała swoje prace, rada, że cieszą cudze oko. Gdy jednak ofiarowany komuś wazonik zamienił się w kupkę gliny nieopatrznie napełniony wodą — zapadła wspólna decyzja: wypalać. Koniecznie wypalać!

Dlaczego decyzja była wspólna? Ano dlatego, że zręczności w wyczarowywaniu z gliny drobiazgów próbowała też matka Aleksandry — pani Kunegunda Jeżowska.

Pani Kunegunda przed wielu laty, w czasie I wojny światowej, jako mała dziewczynka chodziła boso z Muszyny do Krynicy z laskami wyciętymi z jodły i własnoręcznie rzeźbionymi. Sprzedawała je za parę groszy, aby kupić wymarzone sandały albo słodką bułeczkę, a całą resztę oddać mamie.

Kuracjusze (wojna wojną, a Krynica Krynica) chwalili małą Dziunkę, bo jej laski wyróżniały się swoistym, oryginalnym rytym, a wymyślone przez dziewczynkę dziwaki trudne były do naśladowania przez innych. Surowy gajowy zabronił wszakże w imieniu prawa wycinania jodełek, dzięki czemu trochę ich ocalało, ale niestety wszelki kontakt dziewczyny z rękodzięłem urwał się na wiele lat. Założyła z czasem rodzinę. Urodziła dwoje dzieci: Józefa i Olesię, zwaną w domu Lesią. Mąż zginął we wrześniu 1939 roku w Brześciu nad Bugiem żołnierską śmiercią. Została sama. Trud życia pochłonął ją całkowicie. Nie myślała o sztuce. Aż któregoś dnia, przyglądając się ceramicznemu zamięłowaniu swojej córki, pani Kunegunda zaczęła rysować na mokrej glinie wzorki własnego pomysłu. Doskonały efekt zaskoczył obie kobiety. Od tej chwili pani Kunegunda zaczęła poszukiwać w glinie duszy.

Od tej chwili upłynęło ze trzydzieści lat.

Do kuchennego pieca trafiały coraz wymyślniejsze figurki. Pani Aleksandra lepila młode, smukłe dziewczęta, modlące się kobiety, proste wiejskie chłoptki. Pani Kunegunda — pełne wyrazu „Żydy”.

Przed wojną wielu Żydów zamieszkiwało Nowosądeckie. Wielu żyło w Muszynie, przydając jej szczególnego kolorytu. Pani Kunegundzie zapadły w pamięć ich powiewające na wietrze brody i pejsy, czarne chałaty, małe jarmułki, odświętne, obramowane futrem lisim sztrajmle na pełnych godności głowach, ich pluszowe kapelusze z rondem jak skrzydło kruka. Zapadła jej w pamięć tragedia siedmuset czterdziestu ośmiu Żydów zamieszkałych w Muszynie, z których tylko dwóch, wedle istniejących danych, przeżyło wojenną pożogę. Postanowiła utrwalić w glinie, w tym kruchym materiale, prawdę o kruchości ludzkiego życia, o tragicznym losie wybranego narodu, którego synów w Muszynie już nie ma.

Starsza pani Jeżowska oddała się swemu dziełu z całą pasją. Półeczki w nazbyt ciasnym pokoju gościnnym zapelniały się dziesiątkami postaci, a jego przestrzeń dziesiątkami, setkami wiedzających, których urzekła uroda kolekcji.

I wtedy pojawili się pierwsi opiekunowie talentów matki i córki.

Profesor Książek własnoręcznie zbudował im piec ceramiczny z prawdziwego zdarzenia.

Kustosz i założyciel Muzeum Etnograficznego w Muszynie, Karol Rojna, napisał o artystycznych wytworach obu pań w „Gazecie Krakowskiej”, a Jerzy Harasymowicz spowodował otwarcie ich pierwszej wystawy indywidualnej w Nowym Sączu.

Z czasem gliną, tym biblijnym tworzywem, w które Bóg tchnął duszę, by zaistniał człowiek, zafascynował się także mąż pani Aleksandry Feliks Tyłuś. Spod jego ręki zaczęły wychodzić niezwykle oryginalne kufle zdobione końskimi łbami, giętkimi kształtami jaszczurek, głowami ludzkimi o ciekawym wyrazie, a także kielichy i wazy zdobione kiśćmi owoców. I Żydzi, znowu Żydzi. Postaci w czarnych chałatach pana Feliksa należą do tej samej rodziny, co i figurki pani Kunegundy, mają jednak więcej dynamizmu, są często bardziej charakterystyczne. Cóż to za galeria rozmaitych typów! Żydowscy grajkowie obok handlarzy oferujących swe towary, Żydzi studiujący księgi obok modlących się rabinów, refleksyjni starcy obok załamanych niepowodzeniami, na wskroś smutnych życiowych nieudaczników.

Dom trojga ludowych artystów z Muszyny Złockiego zaludniony jest szeregami ceramicznych postaci, tworzących stałą, nienaruszalną kolekcję. Jego mieszkańcy — jeszcze za życia pani Kunegundy — tworzyli klimat takiej łagodności, jaki wyzwolić może tylko wspólna pasja służenia dalekiej od komercji sztuce.

Tracąca wzrok, schorowana pani Kunegunda traciła z czasem i apetyt na życie, bo nie mogła już robić tego, co kochała najbardziej — nie mogła lepić figurek. Leczyła się liściem kapusty i chrzanu, lubiła zatapiać się w zieleni ogrodu.

— Och, gdybym ja miała 70 lat, wiedziałabym, co z życiem robić! — wzdychała do mnie ciesząc się wizytą.

Pani Jeżowska zmarła 18 maja 1991 roku w wieku 83 lat. Zawsze, gdy jestem w Muszynie, odwiedzam jej mogiłę ze skromniutkim krzyżem, palę światło pamięci i modłę się swą wiarą w ciała zmartwychwstanie, w zmartwychwstanie także setek istnień ludzkich w glinę zaklętych przez złockich artystów.



Kunegunda Jeżowska przy pracy w swoim domu na Złockiem (1965 rok)